

JARMILA KACZMAREK

O PROSTOWANIU WIZJI DZIEJÓW ARCHEOLOGII POZNAŃSKIEJ

Mam przed sobą obszerny polemiczny artykuł pana profesora Tadeusza Malinowskiego pt. „Poznańska archeologia w krzywym świetle”, w którym recenzuje on moją pracę „Organizacja badań i ochrony zabytków w Poznaniu (1720-1958)”. Artykuł ten przeczytałam z ogromnym zainteresowaniem, bowiem jego autor, były wieloletni pracownik Muzeum Archeologicznego w Poznaniu, był swego czasu osobą znaczącą w środowisku poznańskich archeologów. Recenzent zajął się jedynie częścią mojej pracy, głównie dwoma ostatnimi rozdziałami (V-VI) obejmującymi lata 1939-1958 (a więc czasami mu najbliższymi z racji wieku), w mniejszym stopniu odnosząc się do wstępu i rozdziału IV (okres międzywojenny). Ponieważ niektóre partie mojej pracy budzą zastrzeżenia, niekiedy wręcz sprzeciw recenzenta, wydaje się, iż pewne rzeczy powinien wyjaśnić.

Przede wszystkim chciałabym jeszcze raz powrócić do samej koncepcji pracy. Jej celem było przedstawienie głównie spraw organizacyjnych, jako że w dotychczasowych opracowaniach znajdowały się one nieco na marginesie dziejów archeologii poznańskiej. Podstawą opracowania miały stać się przede wszystkim dostępne źródła pisane, uzupełnione istniejącą literaturą, a tam gdzie to możliwe – również wywiadami ze świadkami pamiętającymi lata czterdzieste i pięćdziesiąte. W praktyce to ostatnie założenie udało się zrealizować w niewielkim stopniu, znaczna bowiem część świadków już nie żyje, a z pozostałych na szerszą współpracę zdecydowało się jedynie kilka osób. Większość archeologów poznańskich, do których się zwróciłam z prośbą o pomoc, zachowało daleko idącą rezerwę: wprawdzie udostępniło poszczególne dokumenty będące w ich posiadaniu i czasem udzielało krótkich odpowiedzi, jednakże na prośbę o sprawdzenie pewnych partii mojej

pracy lub udzielenie szerszej konsultacji często padały odpowiedzi, że chętnie ale: nie mam chwilowo czasu, niewiele pamiętam, jestem za stary(a), jestem za młody(a), czemu to ma służyć, po co o tym pisać, może lepiej zapomnieć. Jedna zaś z osób, zresztą dla historii archeologii poznańskiej znacząca, wręcz zakazała mi się zajmować dziejami jej własnej instytucji, zaś na moją prośbę o udostępnienie dokumentów oświadczyła, iż niedawno kazała wyrzucić znaczną część archiwaliów, bo dotyczyły one nieistniejącego już przecież Kierownictwa Badań nad Początkami Państwa Polskiego. Mam jednak nadzieję, iż oświadczenie to miało się z prawdą. Te doświadczenia skutecznie zniechęciły mnie do szukania pomocy u osób, które już w Poznaniu nie pracują.

Kiedy kilka lat temu przedstawiłam pani prof. Zofii Kurnatowskiej pierwszą wersję rozdziału o archeologii powojennej, jej zdaniem tekst nie zawsze pokrywał się z jej odczuciami jako ówczesnej studentki. Fakt ten tłumaczyła tym, iż w mojej pracy wykorzystywałam przede wszystkim dostępne archiwalia (w dużej mierze sprawozdania i dokumenty oficjalne). Te zaś, jak to i dzisiaj się zdarza, pisane były przez kierowników instytucji na potrzeby władz, które w zamian za stworzenie możliwości działania żądały spełnienia swoich oczekiwań. Stąd podkreślanie na każdym kroku ideologii nawet tam, gdzie jej naprawdę nie było. Obecne zaś kadry kierownicze to w latach pięćdziesiątych najczęściej studenci bądź młodzi asystenci, nie zawsze mający świadomość, że niewinna potańcówka w sprawozdaniach dyrekcji mogła zamienić się w zebranie ideologiczne ze studiowaniem marksizmu na czele. Mniejsze natomiast znaczenie przywiązywano w sprawozdaniach do takich szczegółów, jak właściwa pisownia nazwisk (stąd np. zauważone przez recenzent-

ta różne ich wersje, jak Nejowa/Ney/Neja, ale i Szwajcer/Schweitzer; nie zawsze zaś z kontekstu można było wywnioskować, czy chodzi o tę samą osobę), różne nazewnictwo instytucji (np. Instytut Prehistoryczny/Zakład Prehistoryczny/Katedra Prehistorii, Wydział Medyczny/Wydział Lekarski itp.), niedokładne tytuły publikacji. Słyszając opinię prof. Kurnatowskiej, postanowiłam wówczas nie brać sobie na głowę niepotrzebnego kłopotu i zmienić zakres czasowy pracy, zamykając ją na 1945 r. Ta propozycja spotkała się jednak z kategorycznym sprzeciwem pani Profesor, która argumentowała, iż każdy historyk powinien dążyć do prawdy nawet jeśli wie, że nigdy do końca poznać jej nie zdoła. Skoro mamy świadomość niedoskonałości dokumentów, które są przecież podstawą każdego badania historycznego, jeśli uzupełniająca literatura też nie wszystko wyjaśnia, a próba współpracy ze świadkami nie zawsze kończyła się sukcesem, to należy pokazać dokumenty takimi, jakimi są. Może uświadomienie ich istnienia w takiej, a nie innej formie skłoni naocznych świadków do mówienia i szerszej dyskusji. W przeciwnym wypadku za lat kilkanaście historyk będzie miał do dyspozycji jedynie te niedoskonałe dokumenty, nie będzie zaś już nikogo, kto by im zaprzeczył i dokonał sprostowań lub uzupełnień.

Uległam wówczas tej argumentacji, choć niechętnie i zupełnie bez przekonania. Dzisiaj, mając w rękę recenzję prof. Malinowskiego, ze skruchością przyznaję, że się myliłam. Pani prof. Kurnatowska miała całkowitą rację. Dobrze się stało, że ta książka ukazała się w nieokrojonej wersji, a może nawet należałoby omówić czasy do np. 1980 r., jako że również stan tych późniejszych archiwaliów wcale nie jest lepszy. Dowodem racji pani profesor jest też zresztą sam recenzent. Przecież, kiedy swego czasu ofiarowałam mu egzemplarz autorski z żartobliwą dedykacją, iż recenzji sobie nie życzę, otrzymałam zapewnienie, że na pewno jej nie napisze, bo jest bardzo, ale to bardzo zajęty. No i po przeczytaniu pracy recenzent zmienił jednak zdanie, czego dowodem aż 41 stron maszynopisu. Wypada mi jedynie podziękować za to, że zechciał sobie zadać tyle trudu i wniósł tyle cennych korekt i uzupełnień. Oczywiście jest jednak, iż nie z wszystkimi jego tezami w pełni się zgadzam, zwłaszcza że ma on własną wizję dziejów badań, a do czego ma całkowite prawo i z czym polemizować nie zamierzam.

Nie sądzę jednak, by omawianie archeologicznych studiów uniwersyteckich wykraczało poza zakres organizacji badań i ochrony zabytków. Ar-

cheologia uniwersytecka to przecież także instytucja zajmująca się badaniami, a organizacja owych badań mieści się w temacie omawianej pracy. Czym w końcu różniły się badania powierzchniowe Józefa Kostrzewskiego prowadzone w ramach zajęć ze studentami albo w godzinach pracy w Muzeum? Ponadto, o czym recenzent wspomina, studia przygotowywały kadry i dla organizacji nauki nie jest obojętne, czego uczy się przyszłych adeptów i na jakim poziomie. Gdyby jednak, zgodnie z sugestią recenzenta, pominąć uniwersytet, to w konsekwencji nie powinnam była w ogóle wspominać o działalności Zakładu Antropologii, co zresztą uczyniło przede mną wielu innych autorów. Nie wspomina o nim J. Kostrzewski w swym opracowaniu z 1958 r. ani A. Abramowicz w publikacji z 1991 r., ale akurat w moim przypadku recenzent odczuwał niedosyt i uzupełnił skromny akapit mej pracy o wiele interesujących szczegółów. Zastanawiałam się zresztą swego czasu, czy należy w ogóle pisać o wykopaliskach, których celem było pozyskanie właściwie wyłącznie materiału antropologicznego do badań i co do których z punktu widzenia archeologicznej metodyki badań można mieć sporo zastrzeżeń. Jak pisał też sam recenzent, w Laskach kopali dwaj antropolodzy bez wymaganej prawem zgody konserwatora zabytków i bez udziału archeologów, i dopiero konserwator Zygmunt Zakrzewski wymusił udział w nich Aleksandry Karpińskiej (Malinowski 1988, 4-5). Oczywiście ocena tych badań z antropologicznego punktu widzenia może być i jest inna.

Zgadzam się, że proporcje poszczególnych części pracy nie oddają wkładu i znaczenia poszczególnych okresów w rozwój archeologii wielkopolskiej. Takie wyważenie proporcji nie zawsze jest jednak możliwe – starczy np. porównać, ile miejsca poświęcił J. Kostrzewski niemieckim badaczom Wielkopolski XIX/XX w. w pracy „Z dziejów badań archeologicznych w Wielkopolsce” (Wrocław 1958). Również we wszystkich historycznych monografiach miejscowości poszczególnym okresom poświęca się tyle miejsca, ile pozwala na to stan źródeł. Najdłużej trwające pradzieje i wczesne średniowiecze kwituje się więc rozdziałem krótkim, a im bliżej czasów nam współczesnych, tym rozdziały są bardziej sążniste i obejmują coraz krótsze okresy. W moim przypadku dysponowałam licznymi i dobrymi opracowaniami dziejów Towarzystwa Przyjaciół Nauk przy jednoczesnym braku źródeł, z których korzystali autorzy tych opracowań. Stąd nie musiałam pisać o PTPN aż tak obszernie. Z drugiej strony miałam

bogaty wybór źródeł wcześniej nie wykorzystywanych, np. z lat wojny. Pokazanie ich wydawało mi się celowe tym bardziej, iż swego czasu radzono mi wyrzucić „to świństwo”.

Co do wyważenia proporcji między wstępem do poszczególnych rozdziałów a omawianiem na tym tle archeologii poznańskiej, to tu recenzent ma prawo do własnych sądów, a ja do własnych, zresztą mocno korygowanych stanem źródeł i ich opracowań. Wydaje mi się, że występuje tu pokoleniowa różnica zdań na temat tego, co powinno się omawiać w takiej pracy i w jakim zakresie. Pokolenie świadków przemian po II wojnie światowej chciałoby dowiedzieć się przede wszystkim mniej sobie znanych szczegółów o działalności archeologów w Poznaniu. Młodsze pokolenie pamiętać tych czasów nie może, stąd też ich oczekiwania są inne. Nazwa „Kierownictwo Badań nad Początkami Państwa Polskiego” prawie nic mu nie mówi. Dla młodych więc przypomnienie o tym, jak planowano organizację archeologii w Polsce, co z tego wyszło i jak wypadła ośrodek poznański na tle innych nie jest sprawą bez znaczenia. Przedstawianie konfliktów personalnych byłoby zupełnie niepotrzebne, gdyby za tymi osobistymi animozjami nie kryła się walka o przyjęcie różnych koncepcji organizacyjnych, np. komu miała podlegać służba konserwatorska i co z tego wynikało w praktyce. Przedstawiłam je tak, jak tę sprawę naświetlały dostępne mi dokumenty. Oczywiście, gdyby na temat archeologii po 1945 r. powstało już wiele obszernych i nie cenzurowanych syntez, możnaby te wszystkie uwagi wstępne ograniczyć do minimum. Tak jednak nie jest, bo- wiem dysponujemy właściwie tylko rozdziałem pt. „Za naszej pamięci” w pracy A. Abramowicza (1991).

Jak trafnie zauważył recenzent, trochę pozycji literatury rzeczywiście umknęło mojej uwadze, część ominęłam celowo, choć nie wszystkie wymienione w recenzji, np. korzystałam z artykułu B. Kostrzewskiego napisanego na 100-lecie Muzeum Prehistorycznego (p. s. 310). Natomiast publikacje dotyczące J. Kostrzewskiego są na tyle liczne, że odesłanie czytelnika do doktoratu Izabelli Szczepaniak, która je zgromadziła, wydawało mi się najbardziej właściwe. Szczerze zaś żałuję, że nie dotarłam do pracy Wojciecha Śmigieńskiego, choć nie zgadzam się z jego tezą, iż pierwszym konserwatorem zabytków w Wielkopolsce był Zygmunt Zakrzewski. Już pod koniec XIX w. w Poznaniu działał konserwator sztuki Julius Kohte. Jego następcy, Franz Schwartz i Ludwig Kaemmerer, dyrektorzy Provinzialmuseum i Kaiser Fried-

rich Museum, zajmowali się również archeologią. Bywało, że sami jeździli na interwencje archeologiczne, a częściej wysyłali swoich pracowników. Propagowali też ideę ochrony zabytków pradziejowych, oczywiście zgodnie z ówczesnymi normami prawnymi. Model ochrony zabytków był więc bardzo zbliżony do tego, jaki panuje w poznańskiej służbie konserwatorskiej od lat sześćdziesiątych.

Niekiedy miałam dylemat, czy w przypadku gdy praca wyszła w dwóch językach lub było to zarówno opracowanie w maszynopisie i drukowane, podawać obie wersje, czy jedną. Ostatecznie podawałam jedną, tę z której korzystałam. W ten sposób podałam tytuł niepublikowanej pracy K. Szymańskiej-Łopackiej o Ostrowie Lednickim, choć praca ta ukazała się też drukiem w skróconej wersji w I t. periodyku Gniezno. *Studia i Materiały Historyczne* w 1984 r. Pisownię tytułów prac publikowanych (w tym J. Kostrzewskiego) i cytaty uwspółcześnił mi polonista – adiustator książki twierdząc, iż takie są obecnie zasady poprawnej polszczyzny.

Mam też inny pogląd na rolę J. Kostrzewskiego w wydawaniu literatury naukowej; tu jak sądzę recenzent za daleko posunął się w interpretacji mojego tekstu. Profesor oczywiście nie był satrapą władającym archeologią polską i decydującym o tym, które prace należy wydać, a które nie. Takich praktyk próbowano w latach pięćdziesiątych, ale już bez jego udziału. Wypada jednak pamiętać, iż w Poznaniu J. Kostrzewski był dyrektorem dwóch instytucji archeologicznych, a w Polskim Towarzystwie Prehistorycznym, organizacji o ambicjach ogólnopolskich, której szefował konserwator Z. Zakrzewski, na ogół „trzymał” kasę. Pieniądzy na druk nie otrzymywało się z przydziału, ale trzeba je było ciężko wywalczyć i tu Profesor miał spore osiągnięcia. Jeśli dana praca była tego warta, to sam starał się o finanse, bądź dawał listy polecające, co też często pomagało, stąd poparcie Profesora w Poznaniu przed wojną było właściwie decydujące. Konflikt ze skądinąd zasłużonym M. Wawrzenieckim, byłym kierownikiem działu wykopalisk Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, zaczął się od tego, iż ten w latach 1916-1917 napisał pracę o wgłębieniach na kamieniach, zwanych przez lud boże stopki, którym przypisywał symbolikę vaginy. Swej pracy wówczas nie opublikował, ale wydana (nakładem własnym autora) jeszcze w 1915 r. w Krakowie praca A. Czubyńskiego „Mit Kruszwicki”, o podobnej tematyce (Piast i Rzepicha to imiona narządów płciowych: Piast – żeńskiego, a Rzepka – męskiego itd.)

spotkała się z serią niepoehlebnych ocen J. Kostrzewskiego (w 1915 r. na łamach XVI t. *Historische Monatsblätter*, w 1916 r. w *Kurierze Poznańskim* i *Dzienniku Kujawskim*, a w 1917 r. znowu w *Kurierze Poznańskim*). Sądząc po korespondencji, M. Wawrzeniecki, próbując wydać pracę drukiem (może liczył na PTP?), w pewnym momencie zetknął się z ustną krytyką J. Kostrzewskiego podobną do tej, jakiej doczekał się Czubyński. Zmuszony ostatecznie do wydania pracy własnym sumptem w 1937 r., dał wyraz swym uczuciom cytując jednego z doktorów wiedeńskich „(...) nie spodziewajmy się niepodobnego po ustosunkowanych dostojnikach nauki. Większość z nich albo leniwa w myśleniu albo nie zdolna do myślenia (...)”. Po nazwisku wymienił jednak jedynie J. Kostrzewskiego, widocznie jego uznawał za głównego „winowajcę” swych kłopotów. Pytanie zatem do recenzenta, czy archeolodzy nie powinni reagować na książki, które dziś ukazują się w atrakcyjnej szacie, a których autorzy, przedstawiając się jako nowatorzy czy rewolucjoniści nauki, mają osobom nie uświadomionym w głowach pisząc np. o kosmitach i przedstawiając jeszcze większe rewelacje nie mające przynajmniej pozorów prawdopodobieństwa. Czy redaktorzy czasopism powinni dopuszczać do druku prace, które nie spełniają przynajmniej minimum wymogów?

Jak się wydaje, warto też przypomnieć ponownie, skąd wzięłam niemal wszystkie informacje prostowane przez recenzenta. Otóż pochodzą one z dokumentów, rzadziej z literatury, sporadycznie zaś z ustnych przekazów. Informację np. o wykopaliskach w Bytyniu podałam za oryginalnym sprawozdaniem Akademickiego Koła PTP za r. 1931/32 (UAM A-711). O rezygnacji z członkostwa w nowym Polskim Towarzystwie Archeologicznym przez część członków PTP tak pisał T. Żurowski (1956, 80): „spośród obecnych (...) opiekunów społecznych zabytków 90% to dawni działacze Polskiego Towarzystwa Prehistorycznego, którzy po reorganizacji (...) nie weszli w skład Polskiego Towarzystwa Archeologicznego”. Również informację o uwięzieniu za wypowiedzi jednego z archeologów podałam za dokumentami (PAN-A-48 a-b). Nie podałam jego nazwiska, bo nie pochodził on z Poznania. Był to R. Gostkowski, archeolog klasyczny z Łodzi, który przesiedział 5 miesięcy w areszcie UB. Nawiązując do sprawy kontaktów między profesorami Kostrzewskim i Antoniewiczem, poruszanej przez recenzenta, to dziękuję za informacje uzupełniające. W spuściznie prof. Kostrzewskiego nie ma bowiem żadnych śladów

kontaktów obu badaczy po 1946 r. Dane na temat Instytutu Zachodniego wzięłam z istniejących sprawozdań tegoż Instytutu. W zestawieniach zaś absolwentów polskich ośrodków archeologicznych posłużyłam się natomiast pracami F. Białęckiej i A. Bochenek (1981; 1988), o których wiedziałam, iż materiały do tych prac zbierały od dłuższego już czasu. Sądziłam więc, że można zaufać tym pracom.

Informacje o zebraniach, które się nie odbyły, otrzymałam od Zofii Hilczer-Kurnatowskiej. W latach pięćdziesiątych, znalazłszy się przypadkiem na zebraniu Rady Oddziałowej ZZNP, niespodziewanie została wybrana przewodniczącą tej Rady. Ponieważ był obowiązek należenia do związków, a działacze nikomu się nie chcieli, przewodnicząca musiała okresowo pisać sprawozdanie z nieistniejącej działalności, aż wreszcie udało się jej pozbyć stanowiska w 1961 r. w związku z przejściem na etat w Zakładzie Archeologii Wielkopolski i Pomorza IHKM PAN. Podpisy pod ilustracje wzięłam z istniejących inwentarzy fotografii w Muzeum Archeologicznym lub też prosiłam świadków zdarzeń o objaśnienia. Niestety, nie wszyscy informatorzy godzili się na podanie ich nazwisk, z różnych przyczyn.

Zupełnie inny pogląd, niż recenzent, mam na sprawę zbyt szczegółowego i zbyt „laurkowego” według recenzenta przedstawienia okresu II wojny światowej. Co do koncepcji Rosenberga i pierwszeństwa Gobineau w powstaniu teorii nierówności ras, to omawiając spór polsko-niemiecki w okresie po I wojnie światowej podałam celowo tylko głównego ideologa niemieckich faszystów, odsyłając ewentualnych zainteresowanych do literatury, też przecież jedynie wybranej. Natomiast podając pełny skład Krajowego Urzędu Prahistorii i znaczną liczbę hitlerowskich życiorysów bynajmniej nie miałam zamiaru wybielać ani chwalić Niemców, jak nietrafnie domyśla się recenzent. Otóż, jak już wcześniej wspominałam, okres ten prawie nie był omawiany w polskiej literaturze archeologicznej, co kusiło, by potraktować go nieco szerzej, niż inne. Ponadto, pracując wiele lat w archiwum często spotykałam się z postulatami osób go odwiedzających, by napisać nieco o działalności niemieckiej w tym okresie. Do dziś bowiem korzysta się z ówczesnych inwentarzy czy dokumentacji wykopaliskowej, a rękopisy są trudne do odczytania; znajomość chociażby nazwisk wraz z funkcją, jaką pełnili, mogłaby ułatwiać chociażby identyfikacje fotografii z badań wykopaliskowych. Nie bez znaczenia było też zdarzenie, któ-

rego byłam świadkiem jeszcze bodajże pod koniec lat siedemdziesiątych. Otóż do Poznania przyjechał z wykładem Herbert Jahnkuhn, człowiek już wówczas zasłużony dla rozwoju archeologicznej współpracy polsko-niemieckiej. Wykład był bardzo interesujący, a profesor, szalenie sympatyczny starszy pan, ze wzruszeniem opowiadał o tym, jak w księdze pamiątkowej poznańskiego Muzeum Archeologicznego odnalazł swój wpis sprzed czterdziestu lat. Wspominając stare dzieje, mimochodem wspominał ze śmiechem o takiej jednej Karpińskiej, którą dla przykrego charakteru nazywano Draka i tak dalej ... Zastanawiałam się wówczas, czy ten Niemiec, który w początku lat czterdziestych w młodym wieku został profesorem hitlerowskich Niemiec, ma prawo wyśmiewać się z więźniarki obozu koncentracyjnego, w dodatku od lat już nie żyjącej. Wtedy to po raz pierwszy sięgnęłam do materiałów archiwalnych z czasów wojny. I nie przekonały mnie zapewnienia prof. Jana Żaka, którego skądinąd bardzo lubiłam i szanowałam, iż Herbert Jahnkuhn to tak naprawdę szczerzy socjaldemokrata, który zupełnie przypadkiem i pod przymusem został Sturmbannführerem SS. Pomyślałam sobie wówczas, że jeśli nawet nic nie mam przeciw prof. Jahnkuhnowi, jeżeli w imię pojednania polsko-niemieckiego spróbuję uwierzyć w szczerą intencję, to jednak chcę i mam prawo wiedzieć, kim był wcześniej. Sama natomiast koncepcja aneksu zrodziła się stąd, iż biogramy, pierwotnie wplecione w tekst, zbyt mocno go rozbiły. Przedstawiając w nim niemal komplet hitlerowców i uwzględniając biogramy jedynie wybranych archeologów polskich zaznaczyłam na początku aneksu, iż nie jest to lista zasłużonych archeologów, choć i tacy tam byli. Na pewno brak w spisach wielu polskich zasłużonych pracowników technicznych, wynika to jednak w dużej mierze ze stanu dokumentów, w których nieczęsto się oni pojawiają. W przypadku Muzeum Archeologicznego też te listy nie byłyby pełne. Myślę, iż w przyszłości znajdzie się ktoś, kto podejmie trud opracowania słownika biograficznego wielkopolskich starożytników i archeologów, który będzie znacznie bardziej kompletny.

Co do oceny czasów II wojny światowej, to sądzę, iż stosowanie schematów, iż człowiek podły musi być wyłącznie głupi, zaś dobry jest też zawsze mądrym, niestety sprawdza się tylko w baśniach (o podobnych stereotypach – zob. J. S. Bystroń, *Megalomania narodowa*, Warszawa 1935). Tu też gorąco odsyłam zainteresowanych do rozdziału „O odpowiedzialności” w pracy B. Drewnia-

ka (1969, 280-293), z którą się w dużej mierze zgadzam. Autor wspomina w nim, iż w 1945 r. amerykański generał po zajęciu Weimaru kazał prze-defilować cywilnej ludności miasta przez obóz w Buchenwaldzie, obarczając ją częścią odpowiedzialności za to, co tam się działo. Analogicznie postąpił Józef Kostrzewski po powrocie do Poznania. Widząc zniszczony gmach, niezrozumiałe dla siebie przeróbki, brak wywiezionych zbiorów i dokumentacji, zniszczony warsztat pracy, naczynia łuzycyckie zabrudzone odchodami żołnierzy Wehrmachtu, przeżywając śmierć swego syna i niektórych uczniów, po pięcioletnim okresie niepewności, czy dotrwa do następnego dnia, winą za ten stan rzeczy obarczył wszystkich Niemców jako takich, zgodnie z pojęciem odpowiedzialności zbiorowej. Taka ocena w 1945 r. była zupełnie zrozumiała.

Jak pisze dalej B. Drewniak (1969, 281-289), powołując się zresztą na wcześniejsze prace, istnieje jednak też odpowiedzialność indywidualna każdego człowieka, i im dalej od czasów wojny, tym rozważania nad odpowiedzialnością indywidualną powinny górować nad pojęciem odpowiedzialności zbiorowej. Jeszcze czym innym jest też spuścizna poszczególnych osób kolaborujących z nazizmem; np. do dziś korzysta się z nagrań muzycznych dyrygentów związanych z hitleryzmem, o ile są dobre. A więc, nawiązując do podanego przez recenzenta przykładu autostrad budowanych w Polsce przez hitlerowców, to one same w sobie nie są ani złe, ani dobre. Kiedy je budowano były złem, bowiem służyły wojnie i zapewne przy ich budowie korzystano z pracy niewolniczej. Dzisiaj są dobrem, bo służą ludziom i nikt jeżdżąc po nich nie rozmyśla nad ich „nieprawymi” początkami.

Wychodząc z tego punktu widzenia, nie można obarczać archeologów niemieckich pracujących w Poznaniu indywidualną winą za zbombardowanie uniwersytetu czy za używanie przez żołnierzy kartonów z zabytkami do zabezpieczania okien przed odłamkami bomb w czasie walk o Poznań. Również Bernt von zur Mühlen, kierownik Działu Prehistorycznego w początkach 1940 r., nie odpowiadał za zesłanie Aleksandry Karpińskiej do obozu koncentracyjnego. Niemieccy archeolodzy pracujący w Poznaniu starali się o powierzone imienie, jak potrafili najlepiej (choć w swej pracy nigdy nie twierdziłam, że zrobili to wzorowo, jak to sugeruje recenzent). Usamodzielnili Dział Prehistoryczny Muzeum Wielkopolskiego, powołując się zresztą na wieloletnie starania w tym kierunku J. Kostrzewskiego, a sam Profesor gotów był po wojnie walczyć o utrzymanie tej modyfikacji,

pomimo bardzo negatywnego nastawienia do całej działalności niemieckiej w Muzeum. Siłami pracowników w większości z zasadniczym wykształceniem zawodowym starano się nadrobić kilkuletnie zaległości w wykonaniu katalogu z polskich badań przedwojennych, które to zaległości nie powstały zresztą z winy polskich badaczy. Popełniono przy tym błędy, o których pisze J. Kostrzewski, jednakże nie były one aż tak dyskwalifikujące ten katalog, skoro do dziś nie uznano za konieczne stworzenie nowej jego wersji. Sądzę zresztą, że prof. Kostrzewski byłby bardziej wyrozumiały wobec niemieckiego katalogu, gdyby mógł zapoznać się z wynikami spisu z natury, prowadzonego w Muzeum Archeologicznym w l. 1970-1972 (z uzupełnieniami do 1974 r.) przez liczne grono archeologów, w tym osoby z tytułami naukowymi, a który pomimo włożonego w pracę ogromnego wysiłku został wykonany gorzej i przyniósł niekorzystne dla Muzeum następstwa prawne i naukowe. W czasie wojny prowadzono badania ratownicze, których w warunkach okupacji nikt inny prowadzić nie mógł, dzięki czemu chociaż coś udało się ocalić. Zakupiono komplet map sztabowych, z których korzystano jeszcze w latach osiemdziesiątych. Tłumaczono teksty polskie, nie niszcząc przy tym oryginałów, kontynuowano akcję komasacji zbiorów, rozpoczętą już w XIX w. przez poznańskie muzea, choć zasada ich grabieży polskim właścicielom była bezprawiem. Jak jednak pisze sam recenzent (Malinowski 1988, 10), zbiory z Lasek, przewiezione do Poznania, przetrwały. Pytanie, czy w małym muzeum na południu Wielkopolski te materiały też przetrwałyby działania frontowe, późniejszą penetrację szabrowników lub likwidatorskie zapędy powojennych władz (np. w Górze Śląskiej muzeum zlikwidowano tuż po wojnie). Wywiezione zbiory i dokumentacja z niewielkimi stratami powróciły do Poznania; większe ubytki zanotowano w materiałach pozostawionych w Poznaniu, ale ostatecznie straty te nie były zbyt duże w stosunku do całości zbiorów. W 1944 r., kiedy front był coraz bliżej i nie było komu robić kart katalogowych, powstały zaległości, które po wojnie prof. Kostrzewski, jak pisze recenzent, musiał uzupełnić, co rzeczywiście niekiedy nie było łatwe. Ostatecznie jednak w Poznaniu większe straty niż muzeum poniósł zbombardowany Instytut Prehistoryczny, z wyjątkiem zbiorów przekazanych wcześniej do Muzeum Prehistorycznego. Jeśli zaś chodzi o samą ideę wywozu zabytków do bunkrów i schronów

(aby je ratować przed zniszczeniem) to, jak wspomina w swych pamiętnikach K. Jażdżewski (1995, 182-188), w Warszawie na przykład inicjatorem wywozu przez Niemców zbiorów muzealnych był Stanisław Lorentz, który wiedząc o niemieckim rozkazie zniszczenia miasta przekonał odpowiednie władze okupacyjne do idei ewakuacji najcenniejszych zbiorów w przekonaniu, że zbiory zagrabione można próbować odzyskać, zaś zniszczonych już nie. Tak więc, od strony organizacyjnej, którą się zajmowałam przede wszystkim, działalność Niemców nie wypada najgorzej. Inaczej jest z oceną pod względem naukowym i moralnym. W ciągu czterech lat, przerywanych pobytem archeologów na froncie, nie można było wiele zrobić, a to, co opublikowano, najczęściej było bardzo skażone ideologią.

Czy pokazanie działalności niemieckich archeologów jako normalnej pracy jest próbą idealizowania Niemców? Dla mnie nie. Jeśli czytam o prymitywnych zbójach-psychopatach mordujących ludzi w ciemnych zaułkach, nie budzi to we mnie takiego przerażenia jak sytuacja, kiedy ludzie wykształceni, zamilowani w starożytnej Grecji, uważający się za humanistów, pracowici i zdolni, wchodzą w układy z systemem totalitarnym i dla zdobycia pracy czy szybszego awansu gotowi są godzić się na morderstwa organizowane przez państwo, w imię rzekomo świetlanej przyszłości. B. Drewniak (1969, 281) cytuje tu Marię Dąbrowską, że „nikt nie jest zabezpieczony przed predyspozycją do popełnienia zbrodni, że zło tkwi nie tylko w instytucjach czy stosunkach społecznych, ale i w ludziach”. W konkretnych przypadkach pracowników Krajowego Urzędu nie można usprawiedliwiać ludzi takich jak Kersten, Petersen, Thiergen czy von Seefeld, którzy system hitlerowski w pełni akceptowali. Pechowy Mazanetz zasługuje wszak na odrobinę współczucia: mało wykształcony entuzjasta archeologii z dalekiej prowincji, marzący jedynie o pracy w magazynie muzealnym, wikłał się coraz bardziej w układy z nazistami. Kiedy jednak został skierowany do pracy w obozie oświęcimskim, zgłosił się ochotniczo na front wschodni, choć przedtem starał się unikać wojska, jak tylko mógł. Z kolei T. Haevernick budziła moją sympatię; ona na pewno nie była miłośniczką Hitlera, za co płaciła gorszymi warunkami pracy. Gdzieś jednak pracować musiała. Już kilka lat później, w nieco innych warunkach, ale też ustroju totalitarnego, Polacy przeżywali podobne dylematy. Niektórzy szli wówczas na układy wstępując do

partii, część z przekonania, inni dla awansu; reszta zaś też musiała jakoś żyć. I jedni donosili oraz korzystali z profitów bycia po stronie władzy, inni zaś nie. Zawsze należy jednak pamiętać, że czym innym był okres stalinowski, czym innym czasy Gomułki czy Gierka. Obecnie zaś też jest wiele krajów, gdzie ludzie stoją wobec konieczności opowiedzenia się po stronie morderców lub przeciwko nim, co czasem oznacza ryzykowanie własnego życia.

Cieszę się natomiast, iż recenzent zechciał zdać relację jako uczestnik obozów studenckich. Dysponowałam bowiem urzędowymi informacjami o prowadzeniu zajęć z marksizmu na obozach archeologicznych i cytatem A. Kutrzeby-Pojnarowej (1955, 227) „W obliczu nowej rzeczywistości zamazywał się dystans między do niedawna jeszcze ciemnym chłopem kurpiowskim a studentem uniwersytetu, kolegą jego syna czy wnuka. Na karty wspólnie pisanej historii przenoszono opowiadania o niechlubnym okresie zacofania kulturalnego”, co sugerowało, że również oba obozy nie były wolne od prób indoktrynacji. Zgadzam się, że studia archeologiczne nie przygotowały politruków, bowiem ci z archeologów, którzy chcieliby ewentualnie uczyć studentów marksizmu, sami byli słabi w marksizmie (Abramowicz 1991, 152-153, 164-165), wielu zaś archeologów cytaty z „klasyków” stosowało wyłącznie w charakterze koniecznych acz nic nie znaczących ozdobników. Może jest tu ta sama sytuacja jak w przypadku „marksistowskiej” według oficjalnego sprawozdania wystawy „Pradzieje Polski Zachodniej”, za którą to terminologią, jak wspomina recenzent, kryła się wystawa po prostu bardzo nowoczesna i ciekawa. Sprawozdania dla władz musiały jednak uwzględniać oczekiwania tychże władz. Wracając do marksizmu, to jednak gdzieś musiano uczyć go studentów, skoro potem kazano im występować w roli korepetytorów pracowników instytucji archeologicznych.

Nie przekonuje mnie uwaga recenzenta na temat braku powiązań między zasadami studiowania a motywacją do nauki. Przecież do dziś w wielu krajach zachodniej Europy, USA i innych krajach istnieją szkoły średnie i uczelnie o zróżnicowanym programie i poziomie. Ukończenie najlepszych szkół z dobrym wynikiem ułatwia start życiowy, daje lepszą i lepiej opłacaną pracę, toteż już od najmłodszych lat ambitni uczniowie starają się o jak najlepsze wyniki w nauce, aby zapewnić sobie przyszłość. Odgórne ustalenie wszędzie takich samych programów i wprowadzenie nakazów pracy

spowodowało, iż władze uczelni zaczęły mieć kłopoty ze studentami zauważalnie większe, co znalazło odbicie w dokumentach, np. w opracowanej przez ministerstwo tajnej instrukcji w sprawie postępowania ze studentami wykazującymi zaległości w nauce (UAM-A-56/22). Wśród studentów archeologii było nieco lepiej. System zatrudniania (o czym wspomina recenzent), był tam nieco inny, a zapewne też działał bardziej osobisty niż na wielu innych kierunkach kontakt mistrza ze studentami, no i w latach pięćdziesiątych szansa na pracę w zawodzie była spora. Już jednak dzisiaj, przy masowości studiów, kiedy nawet bardzo dobre wyniki w nauce nie gwarantują studentom pracy w archeologii, spotyka się wielu studentów unikających np. praktyk lub broniących się na nich przed pracą inną niż machanie łopatą, bowiem zainteresowani są jedynie uzyskaniem dyplomu magistra jak najmniejszym wysiłkiem i niczym więcej.

Recenzent ma rację mówiąc o zachęcaniu przez J. Kostrzewskiego studentów do pisania artykułów; pisanie prac pod okiem mistrza stanowiło jeden z elementów przygotowania do zawodu. W latach pięćdziesiątych jednakże, kiedy o przyjęciu do pracy i awansach decydowało ministerstwo w Warszawie i decyzję wydawano po zapoznaniu się z charakterystyką kandydata (do pracy/awansu), pisaną przez kierowników placówek, ten właśnie dorobek odgrywał ogromną rolę.

Sprawa tabel. Tu z przykrością muszę przyznać dużo racji recenzentowi. Niestety, tekst książki już po ostatnich korektach z przyczyn ode mnie niezależnych długo czekał na wydrukowanie na folii. Ostatecznie zrobiono to po czasie, na zupełnie innej drukarce, a kiedy tekst w czasie druku się rozsypał, otrzymałam kilka godzin i to nocnych na ewentualną korektę, co najbardziej odbiło się właśnie na tabelach. Natomiast wszystkie nazwiska „poznańskie” były kilkakrotnie konsultowane z absolwentką HKM z 1955 r. Jak twierdzi recenzent – nie udało się, co każe spoglądać sceptycznie na rolę świadków jako źródła informacji, jeśli nie mogą oni wspomóc pamięci dokumentami. Tu więc wypada odnieść się do propozycji recenzenta sięgnięcia z braku dokumentów wyłącznie do pamięci uczestników Koła Naukowego Studentów, działającego u schyłku lat pięćdziesiątych. Rzeczywiście byłoby to zapewne dotarciem do jedyne go źródła, pytanie na ile użytecznego.

W sprawie dyskryminacji kobiet trudno jest dyskutować z osobą, której to zjawisko nie dotyczy. O tej dyskryminacji stale piszą agendy ONZ

w odniesieniu do wszystkich krajów, także zachodnioeuropejskich i Polski. Czyżby, zdaniem recenzenta, poznańska archeologia była oazą wolną od wszelkich jej przejawów? Myślę, iż stosunek archeologów do A. Karpińskiej w okresie międzywojennym naprawdę trudno wytłumaczyć inaczej, niż ówczesnymi kłopotami J. Kostrzewskiego w zrozumieniu nowej roli kobiet. Inaczej należałoby przyjąć, iż albo Profesor miał wyjątkowo paskudny charakter (czego nie potwierdzają zarówno dokumenty, jak i wspomnienia świadków), albo taki charakter miała Karpińska, która w dodatku była marnym archeologiem. Tym ostatnim twierdzeniom przeczy zarówno spuścizna Karpińskiej, przechowywana w archiwum Muzeum Archeologicznego w Poznaniu, jak i np. publikacja L. Leciejewicza z aneksem A. Stypułkowskiej (1991, 35-42), gdzie Karpińską podziwia się za metodykę badań i nazywa siłaczką na wygnaniu, osobą bezprzykładnego bohaterstwa. Przecież nie nauczyła się tego w obozie koncentracyjnym. Już po wojnie podobne trudności z zaakceptowaniem kobiet w pracy miał, zdaje się, uczeń Józefa Kostrzewskiego – Konrad Jażdżewski. Ówczesna studentka, Aleksandra Lipińska, uczestniczka praktyki wykopaliskowej w Gdańsku, jeszcze niedawno z przykrością wspominała mi o sposobie traktowania przez K. Jażdżewskiego swego pracownika Janiny Kamińskiej (żony komendanta Szarych Szeregów). Niedawno zresztą, na zjeździe SNAP na Ostrowie Lednickim w 1998 r., w trakcie przyznawania nagrody im. Józefa Kostrzewskiego, Łucja Okuliczowa wspominała radę swego mistrza, by swego męża puszczała zawsze pół kroku do przodu, jeśli chce być szczęśliwa.

W samym Poznaniu dyskryminacja niewątpliwie nie przypominała ucisku chłopów pańszczyźnianych w wersji niedawnych podręczników historii, których to ucisk miał być wielki i stale wzrastać. W latach pięćdziesiątych było dużo miejsc pracy w archeologii, siłą rzeczy zatrudniano też kobiety. Jak jednak można wyliczyć (nawet przy moich kłopotach w liczeniu), studia archeologiczne skończyło w Poznaniu w latach 1945-1958 – 49 mężczyzn i 56 kobiet. W tym czasie w katedrze uniwersyteckiej znalazło pracę łącznie 14 mężczyzn i 4 kobiety, a w muzeum na 17 mężczyzn i 14 kobiet. Mam wątpliwości, czy, jak pisze recenzent, „pewną rolę w eliminowaniu kobiet (...) odgrywają (...) względy natury biologicznej”; sądzę, iż były to przede wszystkim wzorce kulturowe. Dyskryminacja przejawiała się też np. w opowia-

daniu niestosownych dowcipów przez wykładawców, wmawianiu studentom, iż archeologia to tak naprawdę zawód dla mężczyzn (a tego ostatniego była świadkiem np. Zofia Hilczerówna). Zgadza się, iż po wojnie, za dykcji obu Kostrzewskich, dyskryminacja kobiet w Muzeum Prehistorycznym była najmniej widoczna. Z wypowiedzi A. Kołodziejewskiego bije jednak nieukrywana duma, że jest mężczyzną, a więc świat stoi przed nim otworem.

Prawdziwie zaskoczyła mnie interpretacja przez recenzenta mojej uwagi o instrukcji J. Żaka i w kwestii etyki. O ile wiem, sprawy te były stale obecne w poznańskiej archeologii, jednakże nie przekazywano ich najczęściej za pomocą instrukcji, a raczej osobistego przykładu. Stąd instrukcja J. Żaka jest jedyną, do jakiej udało mi się dotrzeć, a przecież problem jest ważny. Prawdą jest też, iż udział tzw. „elementu” w badaniach wykopaliskowych stwarzał i stwarza określone problemy, których jednak na ogół nie załatwiano instrukcjami. Nie pisał ich nawet znany z bogatej twórczości na tej niwie Włodzimierz Błaszczyk ani jego wicedyrektor, słynny autor instrukcji nakazującej kierownikom działów uzasadnienie zapotrzebowania na wszystkie materiały, w tym na papier toaletowy, a przecież na wykopaliskach w Poznaniu też pracowali tacy ludzie. J. Kostrzewski w swych regulaminach obwieszczał, iż pracowników obowiązuje posłuszeństwo wobec kierowników. Tam, gdzie uczestniczyłam w badaniach wykopaliskowych, informowano robotników, że oprócz stawki podstawowej istnieje premia uznaniowa, wypłacana m.in. za właściwe zachowanie się. Na zajęciach na studiach zaś przypomniano nam o tym, by np. nie eksplorować przynajmniej grobów w stroju nie bardzo kompletnym, mając w jednej ręce szpachelkę, a w drugiej śniadanie, bo nam to może nie przeszkadzać, ale okoliczni mieszkańcy mogą być zszokowani.

Kończąc mój udział w dyskusji chciałabym podzielić się jeszcze kilku uwagami bardziej ogólnymi. Pisząc pracę nie mogłam pamiętać czasów, o których pisałam i musiałam sięgać do nie zawsze rzetelnych dokumentów, często sprzecznych publikacji i czasem ulotnej pamięci świadków. Z tego natłoku sprzecznych informacji musiałam niekiedy wybierać – nie zawsze trafnie. Inaczej recenzent, który brał aktywny udział przynajmniej w części omawianych zdarzeń, sporo pamiętał, niekiedy mógł sięgać do własnych dokumentów. Pokolenie „ZMP” powoli jednak odchodzi. To, w jaki

sposób będzie się o nich pisało w przyszłości, zależy od działalności samych bohaterów wydarzeń, od ich dbałości o zachowanie archiwaliów, także od przypadku (zniszczenie archiwaliów wskutek np. klęsk żywiołowych i z innych przyczyn), a dopiero na końcu od tego Koszałka-Opałka, który to wszystko zechce opisać. Zdawał sobie z tego sprawę prof. Kostrzewski, który wprawdzie na przypadek nie miał wpływu, jednakże o wszystkie trzy pozostałe czynniki gorliwie dbał. Z innymi archeologami bywało różnie. Nierzadko spotkać można postawę typu „po nas choćby potop”, i dokumenty są niszczone, giną w przepastnych archiwach rodzinnych, a w końcu lądują na śmietniku. Niewiele np. zostało z archiwum prof. Kóćki; w tym przypadku można to tłumaczyć jego niezbyt bezpieczną działalnością niepodległościową wśród Serbów Łużyckich, co nie sprzyjało gromadzeniu dokumentów. Jeszcze mniej zostało po prof. Janie Żaku. A archiwa zakładowe (np. Muzeum Archeologicznego) są często brakowane przez archiwistów przyzwyczajonych do segregacji dokumentów np. cegielni czy rzeźni i potem niewiele dokumentów zostaje. W pozostałych instytucjach jest o tyle gorzej, że opiekę nad archiwami naukowymi nie sprawują osoby wyłącznie do tego celu przeznaczone, ale jest to ich działalność uboczna. Zastanawiając się, jak w przyszłości będzie mogła wyglądać wizja dziejów poznańskiej archeologii lat siedemdziesiątych, kiedy już zabraknie świadków, zerknęłam na spuściznę pozostawioną przez byłego dyrektora Muzeum Archeologicznego w Poznaniu, Włodzimierza Błaszczyka. Jak sama pamiętam, była to osoba, delikatnie mówiąc, kontrowersyjna; właściwie większość archeologów poznańskich uważa, iż jego pobyt w Poznaniu to dla muzeum „okres błędów i wypaczeń”. Byli też tacy, którzy swego czasu anegdotami na jego temat sypani przez ponad godzinę. Co z tego zostało. W muzeum niewiele więcej niż teczka personalna. W. Błaszczyk w innych dokumentach jest mało widoczny; kierował instytucją głównie za pomocą ustnych poleceń danych kierownikom. Stąd np. pisma z dowodami nieuzasadnionego szykanowania Bogdana Kostrzewskiego są podpisane przez wicedyrektora. Krytycznej recenzji jego pracy, autorstwa W. Śmigielskiego, nie przyjęła żadna redakcja. Co zatem zostało? Niezbyt rzetelne sprawa-

wozдания muzealne i może jakieś donosy w archiwach partyjnych; Bardzo pochlebny nekrolog pórra Jacka Dubieli (1990); Entuzjastyczne relacje dziennikarzy na temat jego działalności i kilkadziesiąt jego własnych artykułów (głównie w prasie codziennej), mocno już poprawionych przez korektę bliskich współpracowników. Gdzie te piece kopulacyjne czy kultura habsburska [hamburska] z opowieści? Z kwadratowych rotund ostał się mizerny cytat „Na Ostrowie Lednickim rotunda posiada założenie krzyżowe, w Strzelnie półkoliste, w Trzemesznie bazylikowate, w Gieczu – koła” (Błaszczyk 1980). W. Błaszczyk był członkiem Komisji Archeologicznej PAN w Poznaniu, Komisji Nauk Historycznych w Warszawie i wielu innych (Dubiel 1990, 9), a więc środowisko akceptowało może jego działalność? Z dokumentów wynika też, że odszedł z Poznania na własną prośbę, choć w rzeczywistości było inaczej. Ostatnio istnieje tendencja, by nie pamiętać o jego obecności w Poznaniu; tak uczynił np. Lech Krzyżaniak w dodatku pt. „Muzeum Archeologiczne” do pracy T. Jakimowicz „Pałac Górków w Poznaniu” (Poznań 1998). Ktoś jednak kiedyś na nowo „odkryje” W. Błaszczyka i wówczas napisze tylko na podstawie tego, co zdołało przetrwać. Stąd apel do archeologów. Jeśli chcecie, by historia archeologii była bardziej zbliżona do prawdy, piszcie chociażby pamiętniki. Zadbajcie o dokumenty, również prywatne, nie chowajcie ich w domowych kątach, nie wyrzucajcie ich na śmietnik, ale przekazujcie je do naukowych archiwów publicznie dostępnych. Obecnie np. przygotowywana jest praca o Zakładzie Archeologii Wielkopolski IHKM PAN w Poznaniu i taka pomoc bardzo by się przydała. Przydałaby się też praca o całej archeologii poznańskiej chociażby w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Sądząc po przedstawionej recenzji mojej książki, recenzent, jako osoba posiadająca bogate archiwum i sama „siedząca” w samym środku ówczesnych wydarzeń, byłby tu osobą najwłaściwszą do podjęcia się takiej pracy.

Jeśli ten apel nie spotka się ze zrozumieniem, to za lat kilka, kilkanaście rzeczywiście będzie można pisać na temat okresu powojennego tylko na podstawie zachowanych archiwaliów i publikacji. Wówczas jednak nie będzie już nikogo, kto mógłby temu zaprzeczyć.

Jarmila Kaczmarek

LITERATURA

- Abramowicz A.
1991 *Historia archeologii polskiej. XIX i XX wiek*, Warszawa-Łódź.
- Białęcka F., Bochenek A.
1981 *Lista obecności archeologów*, ZOW XLVII, nr 4
1984 *Bibliografia prac magisterskich i doktorskich z zakresu archeologii w Polsce w latach 1945-1980*, Scripta Archaeologica I, Warszawa.
- Błaszczak W.
1980 *Skarby Muzeum Archeologicznego w Poznaniu*, Poznań.
- Drewniak B.
1969 *Kultura w cieniu swastyki*, Poznań.
- Dubiela J.
1990 *Dr Włodzimierz Błaszczak (1929-1989)*, Rocznik Muzeum w Gliwicach IV, s. 7-9
- Jażdżewski K.
1995 *Pamiętniki. Wspomnienia polskiego archeologa z XX wieku*, Łódź.
- Kostrzewski J.
1958 *Z dziejów badań archeologicznych w Wielkopolsce*, Wrocław.
- Kutrzeba-Pojnarowa A.
1955 *Międzyuczelniane obozy etnograficzne na Kurpiowszczyźnie uniwersyteckiego Studium Historii Kultury Materialnej w latach 1952-1954*, Kwartalnik Historii Kultury Materialnej III, 224-236.
- Leciejewicz L.
1991 *Polskie badania archeologiczne w Starej Lubece (1947-1950)* i aneks A. Stypułkowskiej: *Siłaczka na wygnaniu*, Polski Uniwersytet na Obczyźnie, Zeszyty naukowe, Nowa seria, nr 4, Wydział Humanistyczny, 35-42.
- Malinowski T.
1988 *Laski. Materiały z cmentarzyska kultury łuzycyckiej*, cz. I, Słupsk.
- Żurowski T.
1956 *Zjazd Opiekunów Społecznych PTTK*, Dawna Kultura III, s. 79-80.

Adres autora:

dr Jarmila Kaczmarek
Muzeum Archeologiczne
ul. Wodna 27
Poznań